

Ceny Prenumeraty.

We Lwowie: rocznie Rbl. 9 = Kor. 30, kwart. Rbl. 2.25 = Kor. 7.50, mies. 75 kop. = Kor. 2.50, za codzienne dwukrotne odosłanie do domu dopłaca się miesięcznie 18 kopiejek = 60 halerczy.
Z przesyłką pocztową w opakach: mies. Rbl. 1.25 = Kor. 4.20, kwartalnie Rbl. 3.75 = Kor. 12.50, rocznie Rbl. 15.00 = Kor. 50.
Za granicę: wysyłka pod opaską kwartalnie Rbl. 6 = Koron 20.
Ceny oddzielnych numerów:
We Lwowie: 2 kop. = 6 halerczy.
Z przesyłką 3 kop. = 10 halerczy.

Ceny ogłoszeń.

Ogłoszenia za 1 wiersz sześciolamowy drobnym pismem lub jego miejsce 7 1/2 kop. = 25 hal.
Nadesłane za 1 wiersz trzyłamowy drobnym pismem lub jego miejsce 25 kopiejek = 80 halerczy.
Nekrologia wiersz 18 kop. = 60 h.
Zawiadomienia o ślubach i t.p. po 45 kopiejek = 1 Kor. 50 hal.
Drobne ogłoszenia za wyraz 2 1/2 kopiejek = 8 halerczy, najmniej 25 kopiejek = 80 halerczy.
Adres Redakcji, Administracji i Drukarni: Lwów, ul. Zimorowicza 11-15.
Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Słowo Polskie

wychodzi dwa razy dziennie

Rękopisy i listy w sprawach redakcyjnych należy adresować do: Redakcji Słowa Polskiego we Lwowie. — Listy w sprawach przedpłaty i odbioru pisma, ogłoszenia i reklamacje uprasza się nadsyłać pod adresem: Administracja Słowa Polskiego we Lwowie. — Adres dla telegramów: Słowo Lwów. — Nr. telefonu Redakcji 541, Administracji 370.

Nakładem Spółki Wydawniczej SŁOWA POLSKIEGO.

Redaktor naczelny: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Cena numeru 2 kop. = 6 hal.

z przesyłką pocztową 3 kop. = 10 hal.

Gladstone — Disraeli.

Gdyby duchom zmarłych wielkości wolno było przybrać na się dawne ciała i szaty, przespacerować się przez dzisiejszą dolinę łez, mogił i krzyżów i ziemskimi oczyma oglądać owoc swej pracy, to niejednemu z nich wracałoby w astralne regiony z bardzo smutnym obliczem. Tylko te wielkości, co tu, za życia, czuły się wolnymi duchami, co holdowały silnym zasadom, opartym na twardych etyki granitach, powracałyby w lepsze światy bez wyrzutów sumienia.

Do takiej pary duchów, które pobrawszy się pod ręce, mogłyby dziś co krok przystawać na różnych punktach Europy i mówić, wskazując palcem: „Widzisz kolego, to twoje dzieło” — należą niewątpliwie dwaj angielscy mężowie stanu z przedostatniej doby: Wiljam Gladstone i lord Beacousfield (Disraeli).

Oto ich portrety:

Stary Will, jak nam go przekazał pędzel Franciszka Lenbacha, to dżentelmen w każdym calu. Głowa wyniosła, wzniesiona. Bystre oko godzi w dal. Twarz wygolona, a tylko obramowana po bokach siwą, charakterystyczną brodą, przypomina typowe oblicze angielskiego lorda, lub też, może lepiej, marynarza.

Wielki „starzec”, jak go pod koniec życia powszechnie w Anglii nazywano (ur. w r. 1809), wychował się na konserwatywnym chlebie, w jaknajbardziej konserwatywnej atmosferze sztywnego, anglikańskiego kościoła. Kiedy wszedł do Izby niższej, usiadł, rzecz prosta, po prawicy, między kolegami konserwatystami. Ponieważ jednak należał do tych spokojnych, ale głębokich natur, co to długo, powoli, dokładnie i nieco ociężałe myślał, nim w danej sprawie dojdą do ostatecznych wniosków, więc siedział przez szereg lat na swej ławeczce, spokojnie i cicho. Ale oto w czasie tej wzorowej konferencji, kiedy p. Gladstone z wyteżoną uwagą wsłuchiwał się w każde padające w Izbie słowo, stał się nagle pewien cud! Poważny mąż stanu wstał raz po raz z krzesła, wyprostował się na całą swą okazałą długość i wykonał kilka statecznych, nieco ociężałych kroków, poczem usiadł na krześle, — tym razem między angielskimi postępowcami. Niebawem przemówił. Przemówił spokojnie, suniennie, wyczerpująco, dokładnie, ociężałe, — zdobył jednak potężny oklask i wnet stał się bożyszczem swej partii, ulubieńcem postępowego społeczeństwa w samej Anglii, a czcigodnym człowiekiem całego myślącego i uczciwie czującego świata. To był angielski konserwatywny postępowiec.

Podobiznę lorda Beacousfielda znam tylko z fotografii. Jeżeli nie jest ona tak artystyczna, jak portret, wykonany przez Lenbacha, to niezawodnie, jako fotografia, będzie od portretu wierniejszą. Widzimy na tej fotografii, szczupłego, przygarbionego nieco mężczyznę z małym kosmykiem włosów na czole, wydłużającym się w łysinę. Dolna warga wydukała, — pod nią przejrzyście, kozia bródka — oczy silnie rozchyłone w zewnętrzny żez.

Benjamin Disraeli, o trzy lata starszy od kolegi Gladstone'a, pochodził z zamożnej, żydowskiej rodziny, zamieszkałej od kilku pokoleń w Londynie. W młodości odznaczał się ogromną bystrością umysłu, niezmierną pracowitością i wrodzonym swej rasie dowcipem, którym ciskał na zawołanie, a godził zawsze w samo serce przeciwnika. Mówiono, że czcigodny starzec, wracając z posiedzenia do domu, przypominał sobie swe najlepsze dowcipy i zwroty dopiero na schodach, gdy potykał się po drodze co krok o dowcipy i zwroty Disraeliego, które ten na schodach porzucał, idąc na posiedzenie.

Disraeli z wielkim trudem wszedł do Izby, gdzie rzecz prosta, jako wierny syn najkonserwatywniejszego pod słońcem narodu, usiadł na skrajnej lewicy, między postępowcami. Żywi u wstępu do kariery na tym świecie są postępowcami — później, różnie bywa. Disraeli, w przeciwnieństwie do kolegi Willa, mówił często, ochotnie, żywo, doskonalnie, posługując się dowcipem, ironią, sarkazmem lub świętem wyniośnictwem. Słuchała go zawsze z prawdziwą zyskliwością nie tylko postępowca lewica, ale i konserwatywna prawica.

I oto pewnego razu stał się drugi cud. Panowie z prawicy wyciągnęli dłoń i zaprosili grzecznie:

— Panie Disraeli, prosimy uprzejmie do nas.

Pan Disraeli, ukłonił się i przeszedł na inne krzesło. Ambitne jego marzenia spełniły się.

W krótkim czasie Disraeli wybija się swym talentem na czoło partii konserwatywnej. Mowy jego bywają zawsze wyborne, wspaniałe, pełne nie tylko oratorskich błyskotek, ale i rzeczowych argumentów, opartych na głębokiej, wszechstronnej wiedzy.

Disraeli, to typ postępowego konserwatysty.

I oto ci dwaj panowie, co niemal jednocześnie wykonali „zamianę krzesełek”, sterując odąd przez długie lata nową polityką wewnętrzną i zewnętrzną królestwa Wielkiej Brytanii, ustępując sobie co kadencji naczelnego fotelu. Disraeli, gdy wypoczywał, pisywał marne powieści, natomiast Gladstone, wypoczywając, czytywał chętnie powieści, — rzecz prosta nie Disraeliego, tylko ulubionego swego autora fantasty, romantyka Stewensona. Gdy konserwatysta Disraeli, pragnąc zatrzymać władzę, rozszerzył ramy wyborcze, — po tej nowej drabinie wszedł na fotel ministerjalny czcigodny starzec. Gdy naodwrot czcigodny starzec zanadto naciskał na partię lordów swym ulubionym „homerulem” (samorządem irlandzkim), lud angielski mimo swego liberalizmu wołał widzieć u steru Disraeliego, który już zapomniał był, iż początkowo dobił się o wolność Irlandczyków.

Stary Will był specjalistą od spraw wewnętrznych. Holdował przytem bezwzględnej, ociężałej sprawiedliwości w każdej materii i tam, gdzie się tylko dało, bronił jej do upadłego. Sprawy zewnętrzne nie udawały mu się; zanadto chciał być przy nich sprawiedliwym. Najulubieńszym jego konikiem był irlandzki „homerule”. Zielona Wyspa z ludnością głównie celtycką i katolicką, która do r. 1800 miała swą autonomię i swą własną ziemię, została w tym czasie ujarzmiona przez Anglików. Właściciele roli zmienili się w dzierżawców, a urzędnikiem w Irlandji mógł być tylko wyznawca kościoła anglikańskiego, czyli Nie-Irlandczyk. Parlament autonomiczny został zniszczony. Lud chwycił za oręż, za bombę, lub uciekał do Ameryki. Bywały lata głodowe. Woda zalewała pola, ziemniaki gniły, nie było co jeść, a lordowie, zdobywcy, domagali się dzierżawnych czynszów. Kościół anglikański uciskał katolików. Wówczas to czcigodny starzec podniósł się z krzesła i zagrmiał potężnym głosem: „Panowie! gdzie sprawiedliwość, gdzie poczucie słuszności?!... To był przecież wolny lud!”

Słuchano go cierpliwie i z szacunkiem, ale „homerule” nie doczekał się swego końca za życia staruszka — urodził się dopiero w chwili wybuchu obecnej wojny. Jeżeli jednak przez trzy następne dekadę prawie nie schodził z porządku dziennego, to wielka w tem zasługa konserwatywnego postępowca „ojca Gladstone’a”. „Tępy”, bezwzględny jego idealizm, słuchający tylko podszeptu sumienia sprawiedliwego człowieka, zwyciężył w lipcu r. 1914, w ćwierć stulecia po jego śmierci.

Disraeli był konserwatywnym specjalistą od spraw zewnętrznych, aczkolwiek w kwestiach społecznych uchylał niekiedy dyskretnie liberalne szydło ze złotego woreczka. Mając pod kątem rozstawione oczy, strzelał niemi na wszystkie strony, a wiedział zawsze, gdzie rośnie trawa. Ks. Bismarck był arcy-gracem w politycznych szacherkach i często oszukiwał nawet sam siebie — ale Disraeliego nie oszukał nigdy. Ej!... To byli dwaj partnerzy godni siebie przy politycznej pikiecie i przenikali swe karty magnetycznym wzrokiem. Nieraz szli ręka w rękę, ale też nieraz wśród najwyszukańszych komplementów zastanawiali się, gdzie ta łyżka, w której jeden drugiego mógłby bezkarnie utopić. Obaj też są właściwymi autorami owych sławnych paragrafów berlińskiego kongresu, pod którymi kryły się wybuchowe miny. Disraeli doczekał się wreszcie tytułu lorda Beacousfielda i godności para Anglii.

I oto przechadzają się dziś lord Beacousfield i czcigodny starzec, ręka w rękę, po polach flandryjskich, bałkańskich, kaukaskich, mazowieckich:

— Pogratulować ci, kolego. Żniwo wcale piękne. To twoje dzieło — powiada wielki starzec.

— Nie! nie moje. To jego... Bismarcka.

— Obu, milordzie, obu...

Lord Beacousfield odwraca głowę i myśli. Całe życie tyle miał dowcipów pod ręką. Żeby tu znaleźć choć jeden, którymby można ugodzić w samo serce... Nie ma! „Homerule”, najukochańsze dziecię Willa, zatwierdzone królewskim znakiem, wytrąciło mu ostatni atut z ręki. Co za fatalne głupstwo!

Ignis

Wojna Rosji z Austrią i Niemcami.

ZE SZTABU ZWIERZCHNIEGO WODZA NACZELNEGO.

Urzędownie d. 8 (21).

Na prawym brzegu dolnej Wisły od rzeki do Chorzei i dalej na wschód w dalszym ciągu utrzymujemy styczność z przeciwnikiem. Zachodzą drobne potyczki.

Na lewym brzegu Wisły i na Dunajcu bez istotnych zmian. Na niektórych sekcjach odbywa się zwykła wymiana strzałów karabinowych i armatnich.

Na Bukowinie zauważono ściąganie dosyć znacznych sił austriackich.

Na Czarnem Morzu d. 6 (19) i 7 (20) zatopiono pewną ilość tureckich żaglowców. Za pomocą bombardowania w rejonie Choti i Rozy spalono i uszkodzono koszary tureckie, zburzono latarnię morską i ostrzelano most.

RESKRYPT NAJWYŻSZY.

Urzędownie. Piotrogród (P. A. T.). Najwyższy reskrypt wydany na imię Wodza Naczelnego armji południowo-zachodniego frontu, gen. adjutanta, gen. artylerji Iwanowa:

„Mikołaju Judowiczu! Od początku wszczęcia działań wojennych wszystkie armje Panu powierzone, pod mądrym Pańskim dowództwem zwycięsko wykonywały wszystkie zadania. Rozliczne i ciężkie warunki miejscowości, gdzie Nasze działania się rozwijały i skomplikowane warunki strategiczne wymagały od Pana szczególnego talentu, mocy i wiedzy, tudzież ojcowskiej miłości i troskliwości dla Naszego wojownika. Zyskawszy wśród powierzonych sobie wojsk zaufanie do siebie, jako naczelnika, wiódącego je do ocenionych odpowiednio, przez całą Rosję, zwycięstw nad zuchwałym wrogiem, potrafił Pan prócz tego zdobyć ogólny szacunek i serdeczne przywiązanie każdego podwładnego. Tak ważny do przygotowania powodzeń wojennych, a osiągnięty przez Pana stały związek i współdziałanie powierzonych Panu wojsk z armjami północno-zachodniego frontu, wymagał bezustannego napięcia i szczególnego doświadczenia, które Pan w świetny sposób wykazał i wykazuje dalej w swoim pożytecznym dowództwie bohaterko meżnych oddziałów swoich. Widomym wyrazem Mojej serdecznej wdzięczności za świetne zasługi bojowe okazane przez Pana tronowi i ojczyźnie, niech będą załączone przytem znaki orderu Świętego Równego Apostołów. Księcia Włodzimierza I. stopnia z mieczami. Pozostaje dla Pana na zawsze niezmiennie życzliwym.

Na oryginale własną ręką Jego Cesarskiej Mości napisano: „i głęboko Pana poważający — Mikołaj”. — Carskie Sioło 1. stycznia 1915 r.”

„TYNIEC”.

Piotrogród 8 (21) (P. A. T.) W listopadzie podczas zajmowania przez wojska rosyjskie Sandomierza Austriacy zatopili u wejścia do fortu swój rzeczny statek wojenny „Tyniec”. Statek ten był to kołowierz, opancerzony, mający na pokładzie i na burcie urządzenie do dział małego kalibru. Bezwarunkowo warto było przedsięwziąć roboty, żeby go wyciągnąć i naprawić. Roboty te powierzono marynarzom pod kierunkiem nadporucznika Awerkiewa. Obecnie roboty te skończone. Donoszą, że dzwon tego statku i czołowa ozdoba w postaci metalowego herbu austriackiego będą oddane do muzeum morskiego imienia Piotra Wielkiego.

NOWY NACZELNIK SZTABU NIEMIECKIEGO.

Kopenhaga 8 (21) (P. A. T.). Z Berlina urzędownie donoszą, że naczelnik głównego sztabu niemieckiego generał Falkenhayn wskutek swej prośby uwolniony został od obowiązków ministra wojny. Na jego miejsce mianowano generał-majora Wildhohenborna z jednoczesnym podniesieniem do rangi generał-lejtnanta. Falkenhayna posunięto do rangi generała piechoty.

Wojna z Turcją.

ROZKAZ DO WOJSKA.

Tyflis 8 (21) (P. A. T.). Ogłoszono następujący rozkaz do armii kaukaskiej:

„Jego Cesarska Mość z powodu zwycięstwa nad Turkami raczył uszczęśliwić mnie następującym telegramem:

„Winszę Panu, hrabio, zwycięstwa bohater-skiego armii kaukaskiej i zupełnego pogromu wojsk tureckich i proszę przedstawić zaraz wszystkich, którzy się najbardziej wyróżnili, oficerów do nagród wojennych, poczynając od generała Judyma. Mikołaj“.

Obwieszczając o tej wysokości, miłościwej łasce panującego Wodza polecam rozkaz o tem przeczytać we wszystkich rotach, szwadronach, sotniach, bateriach, komendach, zarządach i instytucjach. Głównodowodzący armii kaukaskiej, gen. adjutant, gen. kawalerji Woroncowa-Daszkow“.

SYTUACJA WOJENNA W EGIPCIE.

Kair 8 (21) (P. A. T.). Komunikat urzędowy podaje, że wojska tureckie, przeznaczone do Egiptu, znajdują się w nadzwyczaj opłakanym stanie. Między niemieckimi i tureckimi oficerami doszło do kilku krwawych starć; 27 oficerów arabskich zamknięto w więzieniu w Jerozolimie. Oficerowie niemieccy obawiają się, że Arabowie pozabiją ich wśród pustyni.

Obwarowania, wybudowane wzdłuż kanału Suezkiego, są zupełnie nieprzystępne. Armia angielska jest bardzo liczna i broniona przez silne polowe fortyfikacje, wskutek czego Turcy będą zmuszeni prowadzić ofensywę pod ogniem okrętów wojennych i artylerji lądowej.

We Francji i w Belgji.

Z POLA WALK.

Paryż 9 (22) (P. A. T.). Komunikat urzędowy z dnia 8 (21) wieczorem: Nieprzyjacieli silnie bombardowali nasze pozycje na północ od Notre de Loret, a następnie o godz. 5 rano rozpoczął atak, któryśmy szybko odparli.

W Szampanji zajęliśmy dwa niewielkie laski. Na północ od Beau-sejour Niemcy wykonali kontratak, lecz bez powodzenia.

Nieprzyjacieli na wyżynie argońskiej próbował wykonać silny atak przeciw wystąpieniu naszej linii koło Saint-Hubert. Po żaźartej walce artyleryjskiej, która rozorwała nasze transzeje, Niemcy rzucili się do ataku, lecz zostali odparci przez skombinowany ogień naszej piechoty i artylerji.

PO NAPADZIE NIEMIECKICH ZEPPELINÓW.

London 8 (21) (P. A. T.). Telegramy z Nowego Jorku donoszą, że większość dzienników porannych pomieszczyła artykuły wstępne, poświęcone napadom niemieckich Zeppelinów na Jarmouth, przyczem ostro potępiają Niemcy za ten barbarzyński czyn.

London 8 (21) (P. A. T.). Cała prasa zgodnie potępia powietrzne napady Niemców na bezbronne nadbrzeżne miasta angielskie i zabijanie ludności niewalczacej.

KŁAMLIWOŚĆ KOMUNIKATÓW NIEMIECKICH.

Paryż 8 (21) (P. A. T.). Urzędownie donoszą: Głównodowodzący armią francuską ponownie zwraca uwagę opinii publicznej we Francji i krajów neutralnych na kłamliwość komunikatów niemieckiego sztabu głównego, fałszujących fakty rzeczywiste. Na przykład ostatnie doniesienia podwajają istotnie liczbę strat francuskich z ostatnich tygodni. Francuska zwierzchność wojenna, opierając się na liczbie zabitych, znalezionych na polach wszystkich bitew, jakie zaszły w ciągu ostatnich dwu miesięcy, stwierdziła, że straty Francuzów są znacznie mniejsze od strat niemieckich. Kłamliwość doniesień niemieckich stwierdzono w niedawnym raporcie o rzekomem powodzeniu Niemców pod Notre Dame de Loret, miejscowości, gdzie Francuzi, dzielnie odparli atak, wzięli do niewoli kompanię niemiecką.

Od chwili ukończenia bojów w okolicy Ypres tj. od 2 listopada i zupełnego niepowodzenia ofensywy niemieckiej przeciw lewemu skrzydłu francuskiemu, działania wojenne przyjęły charakter wojny oblężniczej. Ostateczny rezultat ostatnich dwu miesięcy zawiera się w ogólnym przesunięciu się Francuzów ku przodowi, które było w pewnych punktach bardzo znaczne, jak również w cofnięciu się nieprzyjaciela na całej linii, z wyjątkiem jedynym rejonu na północ-wschód od Soissons.

Dodać należy do tego, że ofensywa niemiecka w Polsce od miesiąca jest już wstrzymana, że w Galicji i w Karpatach wojska rosyjskie niepowstrzymanie prowadzą dalej ofensywę, że armia turecka na Kaukazie prawie zupełnie zniszczona. Należy też wskazać na wyczerpanie kadrów niemieckich.

Wobec tego można twierdzić, że dla osiągnięcia stanowczego zupełnego powodzenia Francji i sprzymierzeńców wystarczy im przeczekać z nieznaczniejszą cierpliwością i przygotowywać powodzenie. Ofensywa niemiecka jest przełamana. Wkrótce będzie zwichnięta siła ich zdolności obronnej.

Francuskie podkopy.

Pewien dziennikarz rosyjski opisuje francuskie podkopy:

— Nie raz już pisałem wam o tem — opowiada dziennikarz — jak zbliżyły się teraz okopy i jak wskutek tego przeciwnicy zaczęli się pod siebie wzajemnie podkopywać. Tu i owdzie słyszy się o wysadzonych w powietrze okopach.

Oto wrażenie naocznego świadka, który zwiedził francuskie podkopy, ryte pod szanice niemieckie:

— Jesteśmy w korytarzu, który znajduje się bardzo blisko Niemców, ale w każdym razie oddziela nas od nich jeszcze jakie 150 m. Chce pan jeszcze bliżej podejść ku nieprzyjacielowi? — pyta oprowadzający mnie oficer. — Zgadza się na to i po chwili znaleźliśmy się już nie w szanicy lecz w podkopie. Odrazu ogarnęła nas nieprzenikniona ciemność. W górze, z boków, pod nami — wszędzie zbita, wilgotna ziemia. Oficer z elektryczną latarką idzie naprzód, ja śpieszę za nim, chwytając się ścian i pomagając sobie, jak ślepy, rękami. Podziemny korytarz to schodzi w dół, to znów, zdawałoby się, pnie się w górę. Ciepło, nie tak jak w porzuconym przez nas okopie, gdzie hula zimny wiatr. Ciepło i cicho, strasznie cicho. Nie dochodzą tu nawet odgłosy grzmiejącej na górze całkiem blisko kanonady. Jak gdybyśmy się znajdowali w głębokości kilku kilometrów pod ziemią. Na jednym zakręcie mój przewodnik czeka na mnie. — Niemcy nie podejrzewają nawet — mówi do mnie — iż jesteśmy tak blisko. — W jakiej odległości mogą być? — W jakich pięćdziesięciu metrach. Zaraz podejmiemy do końca galerji, gdzie nasi pracują...

Tak, Niemcy nie podejrzewają, ale... Przyszło mi na myśl, że i oni być może w tej samej chwili, podkopyją się pod nas i też myślą, że my niczego nie podejrzewamy. Być może gdzieś tutaj w odległości kilku metrów od nas, gdzieś z boku, pracują ich ludzie nad podkopem pod nasze szanice. Idzie o to, kto pierwszy się podkopyje. Mnie zaczyna się zdawać, jak gdybym słyszał przygłuszony ziemni odgłos: tuk, tuk, tuk!... Być może, że mi się to tylko tak zdaje i że to tylko serce mi bije. Ale jeżeli to istotnie są Niemcy? Cicho przywołuję mego przewodnika. Jego latarka miga gdzieś daleko przedemną, tak mi się przynajmniej zdaje; ale to zwykle w ciemnościach optyczne złudzenie i ja zupełnie nieoczekiwanie wpadam na oficer. On mówi cicho z jakąś postacią, której rysy z trudnością rozpoznaję. Pokazuje się, że jestto jeden z naszych saperów; stoi pochylony i co chwila uderza głową o ziemię.

— Do niemieckich okopów wszystkiego tylko trzydzieści metrów! — objaśnia mi oficer. — Stąd my poprowadzimy równoległą do nich galerję, z której pójdą prostopadłe korytarze pod same ich szanice. Miny założą się równocześnie w kilku miejscach.

— A dużo jeszcze roboty? — pytam.

— Trzeba będzie kopać jeszcze jakiś tydzień. W każdym razie trzeba się śpieszyć, inaczej, któż wie... Być może, że i Niemcy równocześnie...

Nie skończył. Wiadomo było, co chciał powiedzieć... I on też przypuszczał tę możliwość... I on, i ci, którzy tu dniem i nocą ryją jak krety i ci, którzy tam zostali na górze, w naszych okopach...

Posuwamy się jeszcze dziesięć metrów dalej. Tu już galerja przepelniona jest pracującymi ludźmi, którzy zaczęli kopać podkop równoległy do okopów niemieckich. Przy niepewnym migotliwym świetle latarenki oświetlającej jedną z tych postaci, zdaje mi się, że przedemną są nie zwykli ludzie, lecz jakieś legendarne postacie z jakiejś starej sagi. Tak sobie w dzieciństwie wyobrażałem cyklopów. Patrząc teraz na tych cyklopów naszych dni i myślę o tem, jaką olbrzymią siłę wewnętrzną posiadają ludzie, na oko tacy maleńcy i politowania godni. Okopy są istnym pałacem w porównaniu z tą mogiłą, w której oni pracują, często zgarbieni, godzinami całemi nie mogąc się wyprostować, nic nie widząc i nie słysząc. Otaczająca ich ziemia najeżona jest tysiącem niebezpieczeństw. Ona może zasypać, zadusić swą straszną masą, nieprzyjacieli może odkryć ukrytą w tym tunelu tajemnicę i wysadzić go w powietrze wraz z pracującymi w nim ludźmi. Wówczas z panującej pod ziemią nocy przechodzi się wprost w noc niebytu. W każdym wypadku po jakimś czasie sprawa bezwarunkowo musi skończyć się katastrofą. Francuzi albo Niemcy w tym wyścigu ku śmierci prędzej czy później muszą być wysadzeni w powietrze.

Takie jest życie w czołowych liniach okopów. Niewesołe jest też w drugiej i trzeciej okopów. Nie mogę zapomnieć jednego wypadku z życia w szanicach. Czterech żołnierzy grało w okopach w karty, w jakąś bardzo hazardowną grę; hazard ma to do siebie, iż zupełnie odwraca uwagę od wszystkiego, co się dzieje dokoła. Nad głowami leciały i pękały pociski, ale gracze nie zwrócili na nich uwagi. Naraz do okopu wpadł pocisk i zabił jednego gracza. Na chwilę zapanował zgłęb, dało się słyszeć kilka przekleństw, ludzie pochylają się nad zabitym i przekonawszy się, iż wszystko skończone, odnieśli trupa na bok, do tak zwanej „morgue“, wyjąwszy z rąk jego karty, które on mocno trzymał w zeszytywniałych palcach. Chwila milczenia. Gracze pozostawszy bez partnera, spoglądają na siebie niezadowoleni, — moment w grze był nadzwyczaj zajmujący i szkoda partji. — No cóż, siadaj na czwartego! — zwrócił się jeden z graczy do stojącego w pobliżu żołnierza. —

Niech będzie! — I żołnierz siada na miejscu zabitego, bierze jego karty i gra dalej.

Wojna serbska.

Czytamy w „Dzienniku Kijowskim“:

„Według informacji, pochodzących ze źródeł bułgarskich, zapowiedziana nowa generalna ofensywa przeciw Serbji, wbrew pogłoskom o przerwaniu skoncentrowanych korpusów na front rosyjski, zbliża się do urzeczywistnienia. Sztab koalicji germańskiej zgromadził na granicy serbskiej wyłącznie korpusy węgierskie (IV budapeszteński, V zachodnio-węgierski, VI północno-węgierski, VII wschodnio-węgierski i XII siedmiogrodzki), dwa korpusy bawarskie i 1 rezerwowy korpus pruski. Innymi słowy, licząc korpusy węgierskie na 60.000 żołnierzy, prusko-bawarskie — zaś na 40.000, otrzymamy ogromną liczbę 420.000 szabel i bagnatów, ześrodkowanych na południowym froncie.

„Zdaje się nieulegać wątpliwości, że i tym razem będą próbowali Austriacy dostać się do Serbji przez Maczwe, w widłach Dryny i Sawy, w ten sposób bowiem zaoszczędzają generalnie austriacy znacznie na długości linii frontu. Trudno na razie bawić się w przepowiednie, jaki obrót przybiorą sprawy na froncie serbskim. Armja wojewody Putnika niewątpliwie jest ogromnie wycieńczoną, waleczność jednak żołnierzy serbskich i talent generałów, które tak niedawno generała Potiorek o sromotną klęskę przypisały, pozwalają z ufnością patrzeć w przyszłość, bez względu na 400.000-cznych zastępy koalicji germańskiej“.

Wiadomości telegraficzne.

PRZEMÓWIENIE NOWEGO GENERAL-GUBERNATORA WARSZAWSKIEGO.

Warszawa 8 (21) (P. A. T.). Przybył tutaj świeżo mianowany gen. gubernator książę Engałyczew. W zamku odbyło się przedstawienie urzędników cywilnych, poczem książę zwrócił się do nich z następującymi słowami:

„Jego Cesarska Mość raczył mianować mnie warszawskim generałem gubernatorem. Działalność władz cywilnych skierowana jest teraz do głównego celu, aby ze wszystkich sił pomagać do powodzenia wielkiej wojny ojczyznej. Ponieważ Rosja walczy nie tylko z armjami nieprzyjacielskimi, ale także i z germanizmem, który się utrwalil w niektórych miejscowościach pasa pogranicznego, szczególną życzliwość i poparcie władzy rosyjskiej zyskają wszystkie bez wyjątku narodowości i wyznania, które w swej patriotycznej działalności na różnych polach współdziałają w tej bratniej sprawie walki z wrogiem. Rząd troszcząc się o los zubożałej ludności, asygnuje 100 milionów na wydawanie pożyczek. Jednocześnie szeroko organizuje pomoc żywnościową. W wykonaniu Najwyżej mi udzielonych wskazówek władze gubernij Król. Polskiego muszą ściśle i bez uchybień zachowywać istniejące prawa, kierując się w wykonaniu ich duchem odezwy, ogłoszonej przez Jego Cesarską Wysokość Zwierzchniego Wodza“.

ROSYJSKO-JAPOŃSKIE ZBLIŻENIE.

Tokio 8 (21) (P. A. T.). Zatwierdzono traktat handlowy z Boliwią. Poseł rosyjski wydał śniadanie na cześć towarzystwa japońsko-rosyjskiego. Na śniadaniu był obecny prezydent tego towarzystwa książę Kamp. W wygłoszonej mowie poseł wyraził nadzieję, że rozpoczęty rozwój stosunków ekonomicznych między Japonją i Rosją będzie owocną podstawą do utrwalenia pomiędzy nimi ścisłego związku politycznego.

ZATOPIONY PRZEZ MINĘ.

Helsingfors 8 (21) (P. A. T.). O dwadzieścia wiorst od Raumo szwedzki towarowy parowiec „Rott“ natrafił na minę i zatonął. Ocalono 30 ludzi z załogi. Zginęli kapitan i 4 ludzi załogi.

Z CINDAO.

Tokio 8 (21) (P. A. T.). Wojenna administracja Cindao ogłosiła tymczasowe przepisy cłowe, które znoszą przepisy niemieckie, istniejące do chwili zajęcia portu przez Japonję.

PRZENIESIENIE STOLICY AUSTRALJI.

London 8 (21) (P. A. T.). Według telegramu z Melbourne stolicę Australji przeniesiono z Melbourne do Sydney. Rząd powziął takie postanowienie wobec tego, że Sydney reprezentuje całą ludność Australji i chce przez to wzmocnić stosunki między wszystkimi stanami związku.

Z BUŁGARJI.

Sofja 8 (21) (P. A. T.). Agencja bułgarska donosi, że celem przeszkodzenia spekulacji na produktach spożywczych, a zwłaszcza na zbożu, rząd postanowił zakazać wywozu kukurudzy, zalecić radom gminnym ustanowić taryfy na rozmaite produkty, a

prezydentem generała Gutierrez, którego popiera eksbandyta Villa, stojący na czele 30.000 wojska. Generał Carranza, około którego zgromadzili się przeciwnicy Villi, znajduje się w stanie Vera Cruz, gotów zmierzyć się z przeciwnikami politycznymi.

P. i W. MARGUERITTE.

O cześć żołnierza.

(Ciąg dalszy.)

Od czasu do czasu, pułkownik obracał się ku leniwie postępującej za nim kolumnie. Stroskany, widział zwiększającą się między kompaniami odległość. — Robercie — rzekł — staraj się pozbiierać ich i przyspieszyć marsz.

Przystanął, oczekując na pierwsze oddziały, podczas gdy młody człowiek rzucił się jak pies na rozproszone stado. Ale, mimo jego energicznych nawoływań, nie zacieśniały się szeregi, nie spieszył się żaden z piechurów.

Pułkownik rzucił okiem na głuche szeregi i westchnął. Pułk, który mu powierzono, niekarny, skłonny do demoralizacji, był jego wiecznym strapieniem. Niepodobna było nigdy odgadnąć, czy będzie się bił mężnie, czy stchórzy; zależało to od dnia, od humoru. Jakże natchnąć ufnością tych ludzi, którzy uważali wszystkich starych generałów za niedołęgów, albo zdradców? Dopiero co, gwardziści narodowi, opasali szczerbnie otuleni, obozujący próżniaczko, spoglądali na niego złośliwie. Szydercze śmiechy rozlegały się za jego plecami. Wszędzie brak karności. To było smutne.

Nareszcie zbliżyła się do niego pierwsza kompania. Defilowała. Blade, o ponurym wyrazie twarzy; wielu odwracało od niego oczy.

— Dalej, chłopcy, trochę więcej życia! To grzeje. Na nas tylko czekają z rozmoczeniem sucharów!

Doskonale wiedzieli, że to grzeje. I doprawdy lepiejby zrobiono, nie czekając na nich: wcale nie mają ochoty dawać sobie głowy rozbijając. Co do zupy z sucharami, to blaga: tak, jakby od czterdziestu ośmiu godzin nie ściskali sobie wszyscy brzuchów w Bourget! Oto co można było wyczytać na czołach zachmurzonych, w oczach, pełnych wyrzutu.

W tej chwili cwałem nadjechał oficer: Jacqmin adiutant. Zdał raport.

Bourget zabarykadowane, broniąc muru za murem, domu za domem, trzymało się jeszcze pod kaponadą baterji z Pont-Iblon i Blanc-Mesnil, opierało się atakom grenadierów i ułanów gwardji pruskiej.

— 128-my? — pytał pułkownik.

— Siedm kompanji komendanta Brasseura strzeżę północnej strony wsi, między kościołem i cmentarzem, i broni barykady od drogi Pont-Iblon; ośm innych stoi częścią w rezerwie, w hucie, a częścią osłania baterję za linią kolejową do Soissons. Ale nieprzyjacieli wygrywa.

— Stłyszycie, zuchy — zawołał pułkownik. — Nasi towarzysze ze 128 są w ogniu. Odwagi tylko, inoi przyjaciele!

A zniżając głos: — Przynaglaj ich, Jacqmin! Ja jadę naprzód.

A ty Robercie za mną.

Popełdził galopem a za nim podporucznik, wściekły, że nie zdołał wzruszyć ociężałości żołnierzy.

Robertowi ciążył na sercu epitet „smarkacz“, mruknęty przez kapitana, do którego zwrócił się z zapytaniem. Na jego ładnej twarzy widać było wzburzenie a złość czyniła go niesprawiedliwym.

„Co za ludzie!“ — pomyślał sobie. I żałował, że nie może ich ukarać aresztem, wypłazować szablą.

Nie mógł się zdobyć, jak jego ojciec, na rezygnację; narzył o środkach bezwzględnych: o sędzie wojennym — posłuszeństwo, albo śmierć. Zdawało mu się, że demoralizacja żołnierza plami honor dowódcy; w naiwności młodzieńczej godził się tylko na prowadzenie wojska do zwycięstwa.

Ojciec, ten myślał tylko o Bourget, o swoich kompaniach 128 pułku, o dzielnym komendancie Brasseurze. Wyobrażał sobie długą wieś przy drodze do Lille, na brzegu Molette, z jej gęstymi zabudowaniami, placami, ogrodami, z jej kościołem, cmentarzem, hutą, dworem, z murami, ze wszystkimi kamieniami, z których każdy tworzył schronienie, obronę. Ale trzeba jej było artylerji, posiłków.

W Bellemare, kiedy zażądał armat, odpowiedziano mu: „To na nic. Ustąpić!“ — „Bourget bez żadnego znaczenia strategicznego“ — zawyrokował Trochu. — „Zbyticzna obrona“ — dorzucił Ducrot. I jeżeli nie ewakuowano wsi, to tylko z obawy przed opinią publiczną, upojoną powodzeniem, a którą odwrót byłby bardzo oburzył.

Kule świsnęły. Granat zarył się w ziemię wilgotną. Pędzi wóz ambulansowy; jak widma biegają tam i napowrót Bracia Miłosierdzia, zabierając rannych; walka wre, a z poza obłoków dymu ukazuje się w końcu Courneuve z jednym linjowym batalionem, drugi jest z przodu, na lewo, a koło Drancy masy w nieładzie, osłaniając ogniem karabinowym cztery grzmiące armaty.

Tam poinformował się pułkownik, wydał rozkazy; chciał właśnie popędzić do Bourget, kiedy przed nim zaczęła się cofać linja tyraljerów, ogień baterji słabnął, ustał. Stychać było zdaleka ochryple hura... galopujące zaprzęgi: armaty torowały sobie drogę przez uciekające wojska.

Na twarzach oficerów otaczających pułkownika widać było śmiertelny niepokój. Dwom kompanjom 135 pułku, kazał się rozwinąć w linie, ażeby zagrozić droge uciekinierom. Daremne usiłowania! Z Noisy, Romainville, Aubervilliers posypał się teraz grad karaczy, rażąc w zamieszaniu Francuzów i Prusaków.

Stary Clemont patrzył na swego syna ze smutkiem; ten, unosząc się w strzemiionach, starał się rozróżnić numery mundurów żołnierzy, pchających wozy, ażeby konwoj przyspieszyć. Naraz krzyknął: — Oh! ludzie z 128 pułku.

Przyskoczył do nich, zaklinał, aby się zatrzymali; spoglądając na niego błędnym wzrokiem, nie odpowiedzieli nawet; jakiś oficer wśliznął się pod wóz, imi wrzuszali ramionami; jeden z adiutantów z miną zrozpaczoną, powiedział w końcu pułkownikowi: — Niepodobna było wytrzymać, gwardja pruska otoczyła wieś, pożar objął wszystko między fabryką a cmentarnią...

Nie skończył; porwała go fala, pchnęła, uniosła. Pułkownik z synem musieli się cofnąć na pola.

W kwadrans później, pułkownik z oberwaną przez odłamek granatu szlifą, na ranionym koniu, podsuwał się pod ruiny domu, gdzie wzywał go generał, który w zastępstwie konferującego z rządem w Paryżu Bellemare'a, dowodził obroną. Pogorszyła się sytuacja. Nie mogło złamać ataku nieprzyjaciela: jego środkowa kolumna zniosła barykadę na drodze do Pont-Iblon; pada pułkownik niemiecki, stary generał Budyński obejmuje po nim komendę pułku królowej Elżbiety i równieź przypłaca życiem dobry przykład, na rażając się pierwszy na niebezpieczeństwo. Bourget, opanowane od północy i zachodu, broniło się już tylko od południa i wschodu; pionierzy porobili wszędzie wyłomy; strzelano do siebie przez ulicę, z izby do izby. Oddziały kolejowe, prawie cały park, rezerwy 128 pułku podały tył. Siedm kompanji tylko 128 pułku, godnych podziwu, walczyło jeszcze pod dowództwem Brasseura. Trzeba posiłków. — Skąd je wziąć?

Pułkownik de Clemont podniósł głowę z bólem zadowoleniem. Jego pułk nie okryje się niesławą, bo tamci, waleczni giną w taki sposób, że zrównoważą nikczemność innych. Zresztą, prowadził świeże kompanje.

— Mam jeden batalion — rzekł.

— Gdzie jest?

— W Courneuve.

(Dok. nast.)

Przeł. Z. Kłosnik.

STOSUNKI GOSPODARCZE.

POLSKA W CYFRACH.

Ruch współdzielczy w Polsce.

(Ciąg dalszy, p. nr. 23).

„Towarzystw drobnego kredytu“ posiadało Królestwo w r. 1912 około 800. Zadania ich są kredytowe, gospodarcze, przyjmowanie oszczędności i lokacji. Udział obraca się w granicach od 10 do 100 rb. Nie wszystkie z tych towarzystw należą do „Banku Tow. wsp.“ (tylko 328) i nie wszystkie są uwidocznione w sprawozdaniach (zaledwie 353), przeło nie możemy stworzyć sobie należytego obrazu z ich działalności. W 353 spółkach w r. 1911 ilość członków wynosiła 308.353, udziały ponad 9.7 milj., rezerwy 0.8, wkładki blisko 41, pożyczki 42.6, lokacje 10, zysk 0.8 milj. rubli. Te kwoty prawdopodobnie są dwukrotnie wyższe u ogółu spółek. Najlepszy przegląd ich rozwoju uzyskamy, przedstawiając go odnośnie do 1 spółki za lata 1903 i 1911.

Na 1 spółkę wypadało:

	1903	1911	przyrost za 8 lat w powiększ. razy:
członków	64	873	12 1/2
udziałów	516	27.173	+ 5
rezerwy	1.167	2.308	2
wkładek	52.672	115.578	+ 2
pożyczek	71.700	120.581	1.7
zysków	1.787	2.248	1.2

Są to świetne wyniki w tak krótkim czasie, szczególnie w przyroście członków i udziałów. Widać, że ludność gromadzi się do kooperatywy i niesie tam swój kapitał coraz chętniej, gdy bowiem na jednego członka wypada w 1903 r. udziałów tylko 8 rb., to w 1911 r. ta kwota dobiega 31 rb.

Za miarę doskonałego rozwoju tych organizacji może posłużyć fakt, iż między 1907 r. a 1912 powstała największa ilość tych spółek: 554, podczas gdy reszta rosła między 1870 r. a 1907. Na wspaniały wzrost wpłynęła nowa ustawa, ogłoszona w 1904 r. dla instytucji drobnego kredytu. Jedna spółka przypadała na przeszło 17.000 mieszkańców; ilość udziałów i rezerw podwoiła się; majątek własny przewyższał dług; kapitały wkładowe w przeciągu ostatnich lat trzech powiększyły się 1.4 razy.

Bank towarzystw współdzielczych w Warszawie, założony w r. 1910 przez dra A. Rządę na zasadzie spółki akcyjnej, w ciągu owego 4-letniego istnienia wykazał niesłychaną umiejętność gospodarowania, bezprzykładną skrzętność i niezmordowaną pracę. Obrót banku w 1910 r. wynosił 87 milj. rubli, w 1913 r. 271 milj.; wkładów na początku posiadał 2.8 milj., po czterech latach w 1913 r. 7.3 milj.

Niezmierne rozrosły się działy operacji bankowych: rachunki czekowe i przekazowe z 440 na 1483, dział inkasowy z 40.000 listów na 125.000. Bank jest rezerwoarem finansów kooperatywy Królestwa. W 1913 r. należało do Banku Tow. drobnego kredytu 328 na ogólną ilość 800, Tow. wzajemnego kredytu 95.

Ogólne zestawienie cyfr, malujących rozwój instytucji kredytowo-współdzielczych Królestwa Pol. napotyka na tę samą trudność, o jakiej wyżej wspominałem, a mianowicie na brak sprawozdań większej części Towarzystw drobnego kredytu. Nie ulega wątpliwości, że na ogół wszystkie te spółki rozwijały się dobrze. Na przełomie lat 1911 a 1912 istniało wszystkich spółek z wymienionych trzech rodzajów około 900, podczas gdy w r. 1903 ilość ich wynosiła około 150. Przyrost w ciągu tych 8 lat (ok. 500 proc.) może być świetnym wyrazem znakomitego postępu kooperatywy Królestwa.

Ogółem wypadało w tych organizacjach na 1 spółkę:

	r. 1903	r. 1911	przyrost w % za 8 lat
członków	145 tow.	900 tow.	+ 45.3
udziałów	1.455	2.114	+ 40.6
rezerw	61.644	55.478	- 10.0
wkładek	749.025	1.265.484	+ 68.9
pożyczek	951.986	1.499.814	+ 57.5
zysków	18.561	24.926	+ 34.3

Gdyby te cyfry odnosiły się i do tych towarzystw, które nie podały swoich bilansów, to byłoby ogółem zorganizowanych w spółkach oszczędnościowych około 1.900.000 członków, udziały wynosiłyby 180 milionów, wkładki oszczędnościowe zaś przeszło miliard rubli.

Z powyższego obrazu liczbowego wynika stały i silny wzrost kooperacji finansowych, spółki stale się wzmagają pod każdym prawie względem. Ubytek w rezerwach (—10 proc.) jest jedynie ich ujemną stroną i świadczy o częściowych tu i ówdzie stratach, które z rezerw pokryto, świadczy także o mniejszej dobie przezorności gospodarczej.

Odmiennej nieco przedstawia się jednostka na tle rozwoju kooperatywy. Udziały i rezerwy stosunkowo maleją, nieznacznie zaś powiększają się inne pozycje.

Ogółem wypadało w tych organizacjach na jednego członka:

	r. 1903	r. 1911	Przyrost za 8 lat w %
udziałów	98	95	- 3.0
rezerw	42	26	- 38.1
wkładek	515	599	+ 16.3
pożyczek	654	709	+ 8.4
zysków	13	22	+ 69.2

Porównując procenty przyrostów na obu ostatnich tabliczkach, przychodzimy do stwierdzenia prawdziwości przysłowia: „gromada, to wielki człowiek“.

Wspaniale przedstawiają się stowarzyszenia spożywcze w Królestwie przez to, że jest ich wiele. W 1912 r. należało do „Związku Stow. spoż.“ 267 z liczbą członków 35.916. Na jedno stowarzyszenie przypadało zatem przeciętnie 129, w 1914 r. 139. Dzielą się te stowarzyszenia: na robotnicze 73, wiejskie 80 i mieszane 97. Najsilniejsze są robotnicze, po 167 członków (w mieszanych 161, wiejskich 87). Przeciętny obrót w robotniczych 589 kor., wiejskich 352 kor., mieszanych 464 kor. Zaoszczędzono 630.000 kor., z czego na członka wypada 18 kor. Rezerwy stanowią 40 proc. udziałów; 60 kor. własnych funduszów wypada na jednego członka (zadłużenie 48 k.). W 1913 r. stworzono gmach „polskiej hurtowni współdzielczej“ w Warszawie, mającej służyć poszczególnym organizacjom jako centrala towarowa.

Działalność „Centr. Tow. Rolniczego w Warszawie“ jest intensywna na polu tworzenia kooperatywy mleczarskiej. W 1913 r. zorganizowano 2 mleczarnie udziałowe ziemiańskie i 39 mleczarni współdzielczych. Ogółem należy do C. T. R. 15 mleczarni ziemiańskich udziałowych, 138 współdzielczych. Kółek rolniczych należy do C. T. R. 964 z 34 tys. członków w 30 okręgach. Kółek rolniczych, t. zw. „zarniarskich“ (z odcieniem radykalno-politycznym) istnieje 100.

„Towarzystwo rozwoju rzemiosł, przemysłu i handlu“ ma 16 oddziałów, 12 komisji, 2.305 członków. Obok różnych innych działań ma ono za zadanie także budzić myśl współdzielczą w Królestwie Polskim i założyło w Lublinie Tow. pożycz.-oszczędz. „Ciulacz lubelski“, w Łodzi „Tow. współdzielcze towarów norymberskich“, „Tow. współdz. handlu owocami“ i inne; w Sieradzu kooperatywę drzewną, zbożową i spółkę mleczarską; i w. in.

Ten krótki przegląd prowadzi nas do wniosku, że idea kooperatywna zapuściła już silne korzenie w świadomości szerszych warstw Królestwa Polskiego i rokuje na przyszłość jak najlepsze nadzieje. Wojna obecna zniszczyć może budowlę, zabić część społeczeństwa, zagrabić nawet kapitał i część majątków, nie wydrze jednak myśli i wszczepionego poczucia, od której będziemy musieli prawdopodobnie rozpocząć odbudowę ekonomiczną kraju.

(C. d. n.) J. St.